

RECENZJA:

Malarz vs marszand

Nie pamiętam dokładnie, ale jakoś niebawem po głośnej, tragicznej śmierci Zdzisława Beksińskiego, Staszek Chyczyński chwalił się, że przez lata regularnie z nim korespondował. Kiedyś, z dwustu listów, których był dumnym depozytariuszem, wybrał kilka – najciekawszych i najzabawniejszych. Siedząc na ławce w naszym zapuszczonym miejskim parku, czytał je na głos i bacznie śledził moje reakcje. A ja zaśmiewałem się jak w cyrku lub podziwiałem biegłość retoryczną ich autora. Uderzyła mnie wtedy zaskakująca głębia filozoficznych analiz, którą chłonałem postawionymi na baczność uszami. W drodze powrotnej przierzucaliśmy się błyskotliwymi formułkami z arsenału sarkastycznych mądrości mistrza Beksińskiego. Na długie lata pozostało mi niezatarte wrażenie: to epistolografia na najwyższym poziomie!

Minęło 15 lat i znów miałem okazję zderzyć się z korespondencją wybitnego malarza. Niestety, wymuszona lektura grubej książki „Beksiński – Dmochowski. Listy 1999 – 2003” nie wywarła już na mnie tak silnego wrażenia, jak uprzednio. Nigdy nie byłem fanem Giganta z Sanoka, acz niektóre jego dzieła, głównie te wcześniejsze, naprawdę mnie zachwycają. Może dlatego konsumpcja tak wielkiej porcji listów wzbudziła we mnie odczucie przejedzenia. Przesyt – oto adekwatne określenie. Uważam, że w tym ogromnym zestawie epistolograficznym nie brakuje passusów mało ciekawych, np. o werniksowaniu obrazów czy instalowaniu programów komputerowych. Być może i te fragmenty zainteresują dociekliwych badaczy zjawiska pt. *Beksiński*, którzy przygotowują kompletną monografię. Ale mnie, cichego sympatyka, po prostu znużyły. Najciekawsza zaś była ostra wymiana sądów między paryskim adwokatem, a warszawskim artystą.

Podczas lektury miałem stałe skojarzenie z niekończącym się meczem bokserskim. Rywale, po kurtuazyjnych ukłonach i uśmiechach, z przyjemnością (!) zaczynają się naparzać, wyprowadzając sygnalizowane lub nie: sierpowe, podbródkowe, lewe i prawe proste. Albo wpadają w klincz. Oto symptomatyczna próbka. ZB: „(...) gdy idzie o moje obrazy to wszelka moralność dla mnie się kończy, żadne najświętsze umowy nie mają znaczenia i jestem gotów nawet bez skrupułów zabić” PD: „Że też wielcy artyści mają zawsze kuku na muniu”. ZB: „Piotrze: straszny z Ciebie facet”. PD: „Uwielbiam takie pieprzenie w bambosz”. ZB: „Jaki na Boga, jazgot? Odnoszę wrażenie, że jazgoczesz raczej Ty”. PD: „Cud się stał pewnego razu, oj, Beksiński powiedział «dziękuję»”. Wyrwane z kontekstu zdania mają ilustrować wyłącznie atmosferę sporu oraz siłę poszczególnych ciosów. Nic więcej! Bohaterowie gry raz „wypalają fajkę pokoju”, innym razem wykopują topór wojenny. Wszystko to oparte na przykrych zaszłościach, wzajemnych rozczarowaniach, przypudrowanej niechęci. Zabawa w dobrą wolę kończy się jak u Gombrowicza: „nie widziano jeszcze wyjaśnienia, które by nie było zaciemnieniem”. Marszand wyznaje: „Zawsze byłem cholerykiem”. Malarz także: „Mam naturę kunktatora”. Albo: „Jestem klasycznym egocentrykiem”. I tak wkoło Macieju...

Bywa, że panowie polemiści imają się spraw trudnych, bo filozoficznych: duszy, człowieczeństwa, Stwórcy. Niestety, uwikłani w pomieszanie pojęć i uproszczenia myślowe, dyskutują we mgle intelektualnej. Dostrzegam to, choć elementarny kurs filozofii, w czasach studenckich, zaliczyłem tylko na trzy. O ile mistrz pędzlowania wykazuje tu imponującą orientację, o tyle mistrz erystyki prawniczej góruje w zakresie historii sztuki oraz politologii. Kiedy boksowanie staje się przyziemne, „zawodnicy” odważnie wkraczają w najgłębsze rejony ekshibicjonizmu. Tu nie istnieje żadne tabu. O swych upodobaniach seksualnych

rozprawiają bez cienia żenady, ku ucieście gawiedzi. Marszand rzuca prostolinijnie: „uwielbiam wielkie cyce i potężne pośladki, twarde jak stal”. Malarz ripostuje: „NIENAWIDZĘ ideału Ameryki czyli dużych biustów (Big Bobs). Najbardziej odpowiadają mi panie szczupłe (...) z niewielkim biustem oraz tzw. «murzyńskimi» (napęczniałymi) sutkami, na widok których dostaję małego rozumu”. Z pewnością taka wymiana najintymniejszych zwierzeń najbardziej zachwyci wszystkich telemanów spod sztandaru Kuby Wojewódzkiego. Sukces murowany!

Zapisy Beksińskiego to materiał surowy: zawiera uchybienia przestankowe, gramatyczne lub ortograficzne, ale mistrz wyraźnie sobie zastrzegł: „Jeśli to mają być moje listy to bez skrótów, bez redagowania, z moją interpunkcją etc.”. Jak widać Piotr Dmochowski to uszanował. Zresztą obaj dżentelmeni starają się być maksymalnie klarowni i precyzyjni w swych wywodach, a przy tym szalenie dowcipni. Na tym pierwszym polu króluje paryski adwokat, na drugim zaś bezkonkurencyjny jest warszawski artysta. Próbką: „Trzymaj się kupy. Pozdrowienia dla Żony. Zdzisław”. Kiedy brało mnie na rehotanie, przypominałem sobie ławkę w parku i czytającego kolegę.

Niebagatelnym walorem dla kolekcjonerów książek o wielkim ironiście będzie z pewnością modna oprawa wolumenu (*black-red-white*), a bonusem – 4 wkładki z kolorowymi reprodukcjami jego dzieł (łącznie: 63), zarówno tych bardzo popularnych, jak i tych mało znanych. Niektóre z nich wyposażono w bezpośrednie odsyłacze do korespondencji. Cała publikacja to prawdziwy raj dla szperaczy, egzegetów i komentatorów. Rozkosz dla ciekawości. *Bon appetit!*...

Sobek Odrowąż

„Beksiński – Dmochowski. Listy 1999 – 2003”, wydawnictwo MD, Warszawa 2017, ss. 800